

Pięć lat temu była taka *Kate*

Miałam wtedy 20 lat, teraz mam 25. Niewiele pamiętam z tamtego czasu. Niektóre wydarzenia przekształcałam, zapamiętałam inaczej niż one wyglądały w rzeczywistości. Czym jest jednak rzeczywistość? Czy jest nim świat, którego już nie ma? Czy może bardziej rzeczywiste są moje wspomnienia?

Postaram się przypomnieć sobie to, co zdarzyło się pięć lat temu, o czym nie mam pewności, że naprawdę miało miejsce. Postaram się przypomnieć sobie to, o czym tak długo starałam się zapomnieć. Najlepszy i najgorszy czas w moim życiu.

Płakałam na lotnisku.

Przyszły moje przyjaciółki, mama. Też płakała.

Dlaczego tam pojechałam? Żeby zarobić pieniądze. Mieliśmy zarobić na wspólne mieszkanie – ja i on. Chciałam zobaczyć Amerykę, Nowy Jork. Zobaczyć jakiś inny świat. Wsiąść po raz pierwszy do samolotu i poczuć, jakie to uczucie latać. Było dużo powodów. Tyle samo, ile było powodów dla których nie chciałam tam jechać.

Najgorsze było to, że ten wyjazd zaplanowaliśmy na długo przed wakacjami. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że się rozstaniemy. Było to niewyobrażalne. A potem było już za późno by się wycofać – bilety kupione, praca zaklepana, raty za program płacone od października. Tyle pieniędzy i wysiłku.

Obiecowałam sobie, że jak tylko się odkuję, jak tylko zarobię tyle, by spłacić bilet lotniczy, to wrócę. Nienawidziłam wtedy Ameryki.

Ale musieliśmy lecieć tam oboje. Musieliśmy siedzieć obok siebie w samolocie.

On był miłością mojego życia, tak wtedy myślałam. Był na pewno moją pierwszą miłością. Poznałam go w pierwszej klasie liceum i trzy lata czekałam, aż w końcu mnie pokocha. Wydawało się, że już nic tego nie zmieni. Mieliśmy lecieć tam i zarobić na nasze wspólne mieszkanie. Wspólne życie. Cel pragmatyczny i idealistyczny zarazem.

Leciałam z nim, a jednak byłam sama. Nie miałam nikogo ani niczego. Leciałam bez siebie, bo siebie zostawiłam w Polsce.

15.06.2002

Dwa dni w Nowym Jorku. Jakaś szansa, że może jeszcze nam się uda. Najpierw koszmarny lot, wyrzuty sumienia na wysokości dziesięciu tysięcy kilometrów. Wspaniały catering. Przed nami dziecko wymiotowało. Dziesięć godzin siedzieliśmy obok siebie, przypięci pasami, rozmawialiśmy o tym co nas łączy, co dzieli. Musiałam przekonywać go,

że więcej jest tego, co dzieli. On nie chciał słuchać. Nie wierzył mi, chociaż wiem, że miałam wtedy rację.

Nowy Jork jest takim miastem, że można zapomnieć o wszystkim, twoje problemy stają się małe, śmieszne. Błądziliśmy po jego ulicach, po metrze, i znowu byliśmy razem. Po dwóch dniach opuściliśmy Nowy Jork. Ja poleciałam do cioci w Atlancie. On – do New Jersey, miał poszukać dla nas mieszkania. Miałam dołączyć do niego po dziesięciu dniach.

Te kilka dni zmieniło wszystko. Nienawidzić Stany Zjednoczone przestałam już kiedy tylko wyjechaliśmy z tunelu prowadzącego z lotniska do centrum Nowego Jorku. Kiedy tylko zobaczyłam Manhattan nocą, przez boczną szybę autobusu. Myślałam, że przewróci się na bok, kiedy wszyscy pasażerowie w jednym momencie rzucili się na tą szybę, by podziwiać jego światła.

A w Atlancie, czyli bardzo szybko, zaczęłam zastanawiać się, jakby to było, gdybym postanowiła zostać w Stanach na zawsze. Tutaj wszystko wydawało mi się takie wygodne, takie dla ludzi. Sprzedawcy byli uprzejmi, a sprawy bankowe można było załatwić w okienku drive-in, nie wysiadając z samochodu. Z drugiej strony on dzwonił do mnie codziennie i zamęczał pytaniami, zazdrością. Ja myślałam o kimś innym, o przyjacielu, który został w Polsce, ale nie pożegnał mnie przed wyjazdem. Uciekłam tak daleko, ale nie dość daleko.

Bez troski czas u cioci minął szybko i trzeba było wracać. Kupiła mi przez internet bilet do Atlantic City z przesiadką w Filadelfii. Na lotnisku, czekając na drugi samolot, sprawdziłam na bilecie, czy mam miejsce koło okna. Okazało się, że wcale nie ma tam żadnego numerka. Lekko przestraszona, spytałam obsługę, co to oznacza. Dowiedziałam się, choć dużo z tych wyjaśnień nie zrozumiałam, że być może nie wsiądę do samolotu. Nie wiedziałam niestety dlaczego. Na szczęście oprócz mnie w podobnej sytuacji były jeszcze dwie kobiety, które wyjaśniły mi, o co chodzi. Okazało się, że rezerwacji jest więcej niż miejsc i obowiązuje zasada kto pierwszy ten lepszy. My byłyśmy ostatnie. Zapewniono nas jednak, że jeszcze tego samego dnia będziemy w Atlantic City. Pani z obsługi zabrała mój bilet, coś z niego wyrwała, coś wpięła i zaprowadzono nas do minibusa, który zawiózł nas do Atlantic City.

W drodze rozmawiałam z Amerykankami. Były bardzo ciekawe kim jestem i co robię w USA. Kiedy powiedziałam, że jestem studentką i przyjechałam z Europy na program 'work and travel', spytały, gdzie mam zamiar pojechać, kiedy już skończę pracę. Powiedziałam, że to zależy od finansów. Na co one, że mam w takim razie ogromne szczęście, że mam ten bilet, bo mogę sobie polecieć gdzie chcę. Jeszcze nie zdążyłam się wtedy przyzwyczać do szybkiego tempa mówienia, więc poprosiłam o wyjaśnienie. Kobiety kazały mi wyjąć z torebki bilet lotniczy i pokazały, że wpięto do niego mały świstek na którym było napisane: do wymiany na podróż w obie strony w dowolne miejsce wewnątrz USA. Taka gratyfikacja od linii lotniczych. Byłam szczęśliwa.

Minibus wysadził mnie na dworcu w Atlantic City, gdzie kupiłam bilet do North Wildwood i miałam jeszcze czas, by pospacerować chwilę po mieście. Powoli zapomniałam o szczęściu, bo nie wiedziałam co mnie czeka na miejscu, bałam się pracy, i kolejnych kłótni z nim.

Lipiec 2002

Hotel, w którym zamieszkaliśmy, nazywał się North Beach i tak naprawdę był zespołem domków pokrytych białym sidingiem, stojących przy Poplar Avenue, która jako jedyna na wyspie miała prywatną ochronę. O tym, że Wildwood jest wyspą dowiedziałam się nie od razu. Kiedy jechałam busem z Atlantic City do mojego miejsca pracy, była ciemna noc, i nie zauważyłam, że przejeżdżamy przez most. Nie wiedziałam, że mieszkamy na wyspie, także bardzo zdziwiłam się, kiedy się później o tym dowiedziałam. Śmiałam się sama z siebie, z mojego przekonania, że wciąż stąпам po stałym lądzie.

Poplar Avenue mimo ochroniarzy nie była ulicą luksusową, ale dla mnie była najważniejszą ulicą w Wildwood. Prowadziła wprost na plażę, do oceanu, była przy niej pralnia oraz Poplar Cafe, dwa miejsca najbardziej związane ze wspomnieniami.

Wynajęliśmy mały pokój z dwoma łózkami – jedno było nasze, w drugim spali Michał i Kasia – taka idealna para. W pokoju była szafa, lodówka na której stała kuchenka mikrofalowa. I to w zasadzie wszystko – plus kawałek podłogi. Łazienka była wspólna dla całego domu, nie były to komfortowe warunki. Zwłaszcza przy takiej sytuacji – ja, mój były chłopak, i jego przyjaciel ze swoją kochającą dziewczyną na kilkunastu metrach kwadratowych. Na szczęście mijaliśmy się, ja miałam w pracy zmiany wieczorne, pracowałam do 2 – 3 w nocy, on chodził do tego samego kasyna na rano, na początku bardzo to pomagało. Potem zaczęły piętrzyć się problemy – spotykaliśmy się tylko w łóżku, kiedy jedno z nas spało na swojej wydzielonej połowie. Nie rozwiązywane problemy gromadziły się, co groziło wybuchem. Czasami, kiedy przychodziłam z zakupów czy pralni, znajdowałam na łóżku pluszowe zwierzaki i liściki, w których pisał że mnie strasznie kocha, i że chce żebym wróciła. Czułam się, jakby chciał mnie przekupić, zmiękczyć tymi maskotkami, listami. Było to trudne do zniesienia, bo gdyby był niemiły, mogłabym protestować, a tak nie mogłam. A przecież kochałam go ciągle, tylko już nie mogłam z nim być.

Pracowaliśmy w kasynie Gateway 26, gdzie wykonywałam zasadniczo dwie czynności. Jedną z nich była praca na tzw redemption, czyli odkupieniu. Ale nie polegało to na odkupieniu duszy. To nie było takie prawdziwe kasyno z ruletką i pokerem, jak w Atlantic City, lecz kasyno na automaty, do których wrzucało się ćwierćdolarówki, i można było wygrać kolorowe żetony. Każdy kolor miał swoją wartość. Ludzie przynosili do

kontuaru całe wiadra tych żetonów, które były strasznie brudne. Musiałyśmy z dziewczynami dzielić te żetony na kolory, między nimi znajdowało się czasami ćwierćdolarówki, więc odkupienie było jedynym miejscem, gdzie kobieta mogła dostać jakikolwiek napiwek. Bo oczywiście faceci, którzy obsługiwali te maszyny dostawali ogromne napiwki. Dziewczyny nie dostawały napiwków, chyba że same je wygrzebały spośród tych kolorowych monet. Od tego strasznie brudziły się ręce. Ludzie przynosili kubły po farbie z tymi żetonami, dzieliło się je na kolory i wrzucało na wagę. W ten sposób obliczało się wartość żetonów i wystawiało czek z punktami. Czek można było wymienić na różne nagrody. W całym kasynie były gabloty z maskotkami, figurkami, sprzętem agd, rtv, wszystko można było tam dostać.

Jednak większość czasu, bo na odkupieniu rzadko zdarzało mi się być, pracowałam w ten sposób, że ludzie przynosili swoje czeki, mówili mi jaką nagrodę sobie wybrali, a ja musiałam podejść do gabloty, spisać numer tej rzeczy, i pójść do wielkiego magazynu, który ciągnął się pod ziemią, pod deptakiem. To były ogromne przestrzenie, oczywiście było tam strasznie gorąco, nie było klimatyzacji, trzeba to było robić bardzo szybko, wszędzie biegały dziewczyny w zielonych koszulkach polo, szukając tych oznakowanych dziwnymi symbolami pudełek.

Raz, gdy pracowałam w Gateway 26, przyszła po odbiór nagrody kobieta z dwoma synkami, bliźniakami. Dostała czek z dużą ilością punktów i wybrała dla nich rowerki. Mieliśmy takie składane rowerki w dużych pudłach. Pamiętam, że strasznie długo ich szukałam, były na końcu magazynu, i ponieważ nie chciało mi się po nie dwa razy schodzić (poza tym mogłam drugi raz już tu nie trafić) wzięłam je oba naraz. A były bardzo ciężkie. Kiedy przyszłam, byłam strasznie zziębiona, i ta pani z wdzięczności za moje poświęcenie dała mi dolara napiwku. Było to bardzo miłe.

Praca za kontuarem nie należała do przyjemnych. Trzeba było nosić ciężkie rzeczy, biegać w kółko po magazynie, szukać jak w labiryncie pudełeczek. Nie było klimatyzacji, bo nie było tam po prostu klientów. Tam gdzie byli klienci, tam była klimatyzacja. Było przyjemnie chłodno. Także jedyne fajne chwile w tej pracy, to kiedy musiałyśmy wyjść z za kontuaru i szukać nagród wybranych przez klientów by spisać ich numerki. Powoli przechadzałyśmy się między gablotami, wdychając chłodne powietrze. Tam pracowali tylko chłopcy. Nosili takie śmieszne fartuszki, w których mieli pełno pieniędzy – ćwierćdolarówek na wymianę, no i banknotów od klientów. Kiedy się targowaliśmy, kto ma gorzej w pracy, mówili, że im te pieniądze ciążą.

Oni asystowali klientom podczas gry, ludziom, którzy spędzali przy tych automatach całe dni. Pokazywali jak się gra, wymieniali pieniądze, pomagali nosić kubły z żetonami. Najstraszniejsze było to, że taki człowiek potrafił wydać w tych automatach niesamowitą ilość pieniędzy, co się zupełnie nie przekładało na nagrody. Przyszedł raz do mnie na odkupienie pan, który miał 2500 punktów na swoim czeku i bardzo się cieszył,

że tyle wygrał. Powiedział, że wydał dzisiaj 400 dolarów w kasynie, żeby zdobyć te 2500 punktów. Co w przeliczeniu dawało niewiele – 1 punkt to był jeden cent. Przynajmniej tak sobie przypominam. W każdym razie śmiałyśmy się z dziewczynami z ich naiwności. Nie wiem, czy ci ludzie o tym wiedzieli, cieszył ich chyba sam fakt, że wygrywali. Może nawet wiedzieli, że nic nie zyskują. Ale to był sposób w jaki spędzali swoje wakacje.

Zresztą Wildwood było miejscem, gdzie przyjeżdżali niezbyt bogaci Amerykanie, bogaci ludzie spędzali wakacje... nie wiem, może na Hawajach albo Florydzie. Ja nie poznałam żadnych bogatych Amerykanów. Jedyni bogaci Amerykanie, to byli właściciele tych kasyn, hoteli i sklepów z pamiątkami.

W naszym kasynie pracowało mnóstwo młodych ludzi z całego świata. Pamiętam jeszcze imiona niektórych z nich, mam zdjęcia, więc pamiętam twarze. Pamiętam czy ich lubiłam, ale nie pamiętam, o czym z nimi rozmawiałam. Za kontuarem i na odkupieniu pracowało ze mną kilka dziewczyn z Rosji, między innymi blondynka o pięknym imieniu Nevena, która kazała mówić do siebie Nancy. Ciemnowłose Reka z Rumunii i Geri z Bułgarii, a naszym menadżerem był Ivo. Na sali pracowali zaś głównie chłopcy z Irlandii oraz Anglii. Z nimi miałam chyba lepszy kontakt niż z dziewczynami. Ludzie z Europy wschodniej dużo pracowali, odkładali każdy grosz, dlatego niechętnie się spotykali po pracy przy piwie, i nie nawiązałam z nimi bliższych znajomości. Osoby z Wielkiej Brytanii przyjeżdżały do Wildwood głównie dla rozrywki. W obu grupach byli prawdziwi weterani, spędzali trzecie czy czwarte wakacje pracując w Gateway 26.

Z Irlandii byli Ryan i Johnny, których nie pamiętam już jak poznałam, ale byli moimi najbliższymi znajomymi przez długi czas. Żartowałam, że Polaków i Irlandczyków łączą dwie rzeczy: powstania i piwo, dlatego tak dobrze się ze sobą dogadują. Oprócz nich Gary, który miał zapalenie wyrostka robaczkowego, i składaliśmy się na jego leczenie w szpitalu, ponieważ nie miał ubezpieczenia. Tim, Bryan, Sean, Frank. Pamiętam niewiele, nie znam ich nazwisk, nie wiem z jakich pochodzą miast i co teraz u nich słychać. Ale w tamtym czasie wszyscy pracownicy Gateway stanowili wielką paczkę. Może nie było wielkich przyjaźni, ale jedno nas łączyło: niemal co wieczór spotykaliśmy się na piwie w Poplar Cafe. To była nasza knajpa. Tam przesiadywaliśmy po pracy do oporu – aż do 3 w nocy, kiedy lokal zamykano. Potem tworzyliśmy grupki i rozmawialiśmy na chodniku pod wejściem, aż przyjeżdżała policja i przez megafon upominała nas: *Keep walking, keep walking*.

Nie pamiętam już tych wszystkich imprez, co się na nich działo, ile wydałam dolarów na okropne piwo Budweiser, o czym i z kim rozmawiałam. Dużo było tego wszystkiego. Pamiętam natomiast jeden wieczór. Mój były chłopak, jako pracownik Gateway, też spędzał noce w Poplar, ale nie zawsze szliśmy tam razem. Kiedyś siedzieliśmy przy stoliku razem z Timem i paroma innymi osobami. I on nagle zaczął mówić bardzo nieprzyjemne rzeczy o mnie, zaczął żartem, ale stopniowo jego ton

zmieniał się, zrobił się nieprzyjemny. Chciał mnie ośmieszyć, upokorzyć przed znajomymi, którzy nie bardzo wiedzieli jak reagować na jego coraz bardziej agresywne zachowanie. Akurat tego nie chciałam pamiętać, a jednak pamiętam bardzo dobrze. Zresztą to nie ważne. W każdym razie w złości wyszłam stamtąd, pobiegłam do domu, ale nie chciałam wchodzić do naszego pokoju, nienawidziłam tego miejsca. Usiadłam więc na tarasie, była ciepła noc. Zaczęłam płakać, mimo że na ulicy było jeszcze sporo ludzi. Akurat przechodził jakiś chłopak, i zauważył, że płaczę. Zatrzymał się i zaczął ze mną rozmawiać. Teraz myślę sobie, że naprawdę miałam ogromne szczęście, że on akurat się zatrzymał. Spytał co się stało, a ja kierowana jakimś dziwnym impulsem, opowiedziałam mu wszystko, jakby był moim najlepszym przyjacielem. Powiedziałam, że przyjechałam do stanów z moim byłym chłopakiem, że rozstaliśmy się tuż przed wyjazdem, ale razem mieszkamy i wszystkie inne nieprzyjemne szczegóły. On powiedział, że nie powinnam dalej z nim mieszkać, że on mieszka w domku obok z grupką znajomych z Irlandii w dwupokojowym mieszkaniu z kuchnią i łazienką, i że zwalnia się jedno miejsce. I że oni chętnie przyjmą nową osobę, żeby nie płacić więcej za czynsz. Miał na imię Denis i pochodził z Cork, takiej części Irlandii, gdzie ludzie mówią naprawdę szybko i z dziwnym akcentem, ale jakoś wtedy starał się mówić wyraźnie. Później, gdy już mieszkaliśmy razem, często denerwował mnie w ten sposób, że pytał mnie o coś, a ja nie byłam w stanie odpowiedzieć, bo nie rozumiałam ani słowa. Strasznie go to bawiło. Moi irlandzcy znajomi pocieszali mnie jednak mówiąc, że oni czasem też go nie rozumieją. Denis uratował mi wtedy życie tą rozmową. Sama byłam w szoku, że tak się otworzyłam przed kimś obcym, ale Denis okazał się osobą godną zaufania. Następnego dnia spotkałam się z moimi przyszłymi współlokatorami i było już postanowione, że się przeprowadzam. Trzeba było jeszcze tylko dogadać sprawę z właścicielem hotelu.

Następnego dnia on miał dzień wolny. Musiałam jakoś wymknąć się z pokoju, żeby nic nie podejrzewał, nie chciałam awantury, zanim nie byłam pewna na 100%, że się wyprowadzam. Powiedziałam, że idę zadzwonić do cici. Chciałam iść do mieszkania właścicieli, ale dziwnym trafem właściciel stał pod naszym domem. Podeszłam do niego, przywitałam się i powiedziałam, jak sprawa stoi. Zgodził się na zamianę, kiedy powiedziałam, że chłopak, z którym mieszkam, to mój były, i że Irlandczycy się zgadzają. Musiałam płacić tylko wyższy czynsz – o 10 dolarów tygodniowo więcej. I już miałam wracać, kiedy nagle on pojawił się znikąd i zaczął krzyczeć: wyprowadzasz się? Przyznaj się, że się chcesz ode mnie wyprowadzić?! I inne, gorsze rzeczy. Krzyczał po Polsku, więc właściciel stał jak oniemiały i nie wiedział co zrobić. Podobnie jak ludzie na ulicy. W końcu udało mi się uspokoić go i poszliśmy do domu. Nie umiałam mu wytłumaczyć, że tak będzie lepiej dla nas obojga. Od tamtego zdarzenia, właściciel hotelu, za każdym razem, kiedy mnie widział, z troską pytał, czy u mnie wszystko w porządku

Kilka dni później, korzystając z tego, że nikogo nie było w pokoju, zapakowałam swoje rzeczy, skromny dobytek, który uratowałam po tym, jak w torbie rozlał mi się wybielacz. Wyszłam z domu, przeszłam parę metrów i weszłam do domku obok. Niby nie uciekłam daleko, ale jednak czułam się wolna. Dopiero teraz zaczął się czas, dzięki któremu wspominam pobyt w USA jako najlepszy czas w moim życiu. Byłam zupełnie, całkowicie niezależna. Miałam swoje własne pieniądze, swoją pracę, swój pokój i łóżko, mogłam robić co chcę, kiedy chcę i z kim chcę. Oczywiście miałam też problemy, ale one były moimi problemami, musiałam sama o siebie zadbać, sama załatwiać sprawy w banku, robić swoje własne pranie i zakupy, gotować tylko dla siebie. Pierwszy raz poczułam się jak osoba dorosła. Nawet teraz, kiedy wspominam to po latach, mam to poczucie dumy z samej siebie, z własnej niewystarczalności. W Polsce nigdy się tak nie czułam.

Zajęłam pokój razem z Julie i Elaine, które spały razem na jednym łóżku, ja zaś na drugim. Między łóżkami stał wiatrak, który całą noc pozwalał nam swobodnie oddychać w niekończącym się upale. W drugim pokoju mieszkali Maura i Dave oraz Denis. Maura i Dave kilka miesięcy po powrocie do Irlandii zaręczyli się, jakiś czas utrzymywaliśmy kontakt, ale potem się jakoś urwało i nie wiem, czy się pobrali. Najbliżej zaprzyjaźniłam się z Elaine. Elaine kiedyś miała wypadek, i miała chore nogi – dlatego chodziła bardzo powoli, każde nasze wyjście do sklepu czy pubu zaczynało się jakby od spaceru. Bardzo ją lubiłam. Zresztą wszyscy byli bardzo sympatyczni i mili dla mnie, wspierali mnie w mojej decyzji wyprowadzenia się od byłego chłopaka. No i razem chodziliśmy do Poplar wieczorami.

Oni wszyscy pracowali w parku rozrywki Morey's Pier. Kończyli pracę szybciej niż ja. Zresztą odkąd musiałam sama się utrzymać, byłam zmuszona wziąć drugą pracę. Z upływem czasu w Gateway 26 miałam coraz mniej godzin, około czterech dziennie. Dostałam pracę w McDonalddie. Nie dlatego, bo chciałam. Już wcześniej razem z Kasią obeszliśmy całą wyspę w poszukiwaniu jakiejś porządnej pracy, był jednak środek lata i wszystkie miejsca były zajęte. McDonald był dla mnie ostatnią deską ratunku. Chociaż normalnie nie jadłam w 'macu', i ideologicznie było to nie po mojej myśli, zdecydowałam się, bo musiałam odłożyć jakieś pieniądze a bez drugiej pracy nie dałabym rady.

Najpierw przeszłam trzydniowe szkolenie w największym z trzech barów na wyspie. Pierwszego dnia przez osiem godzin smażyłam frytki. Z wielkiego plastikowego pojemnika wysypywały się automatycznie do sitka, które musiałam włożyć do rozgrzanego oleju. Po dwu minutach maszyna z olejem dzwoniła, żeby potrząsnąć frytkami. Po kolejnej minucie należało wyjąć sitko i poczekać aż frytki ociekną z tłuszczu. Sitko było bardzo ciężkie i gorące. Miałam obolałe i poparzone ręce. Takich porcji frytek mogło się smażyć nawet 6 naraz! Potem wysypywałam frytki do takiego jakby inkubatora z lampą, która utrzymywała frytki w odpowiedniej temperaturze. Soliłam i nakładałam je

do papierowych torebek, które natychmiast były zabierane. Syzyfowa praca. Menadżerka tylko w kółko chodziła, klepała mnie po ramieniu i mówiła: *good job, good job!* Po całym dniu czułam się jak butelka oleju. Nie zdążyłam nawet zjeść lunchu, był taki tłum. Porcję frytek i kanapkę bez kotleta zabrałam do domu w torebce papierowej, ale nie mogłam tego przełknąć.

Drugiego i trzeciego dnia już nie smażyłam frytek, potem też już tego więcej nie robiłam, kiedy po szkoleniu zaczęłam pracę w McDonalddie przy deptaku biegnącym wzdłuż plaży, gdzie było o wiele spokojniej. Można było chwilę odpocząć. Tam pracowałam tylko na kasie. Pracując, cały czas mogłam patrzeć na ocean.

Od poniedziałku do piątku wstawałam więc o siódmej trzydzieści, o ósmej z minutami byłam już w 'macu'. Nie obrywało mi się za notoryczne spóźnienia, bo menadżerem był Nenad – który mnie chyba bardzo, bardzo lubił. Poranki w 'macu' były ciężkie, zazwyczaj po imprezie w Poplar do trzeciej w nocy. Wyjmowałam kostki lodu z maszyny do napojów i przykładalam sobie do powiek, albo robiłam sobie kawę z lodami waniliowymi. W McDonalddie pracowałam od ósmej do szesnastej, miałam trzydzieści minut przerwy na lunch, który jadłam często na plaży, odganiając się od mew.

Codziennie, o jednej z godzin porannych, ósmej czy może dziewiątej, grano na deptaku hymn Stanów Zjednoczonych. Stałam wtedy za kasą, i nie widziałam, skąd dobiega muzyka. Widziałam tylko jak deptak powoli zapełnia się ludźmi, najpierw na rowerach, gdyż tylko do dziesiątej można było tam na nich jeździć. Potem byli ludzie uprawiający jogging, a potem, w największy upał, ogromne ilości turystów. Wszyscy niemal przychodzili do nas pić gorącą kawę, co wydawało mi się niesamowite przy temperaturach powyżej 35 stopni.

Trudno w to uwierzyć, ale to była fajna praca. Nabijałam na kasie zamówienia klientów, a żaden nie mógł zamówić zwyczajnego hamburgera czy bigmaca – każdy musiał coś w nim zmienić, tak jak robi się to w drogich restauracjach. Klienci chcieli big maca bez ogórka lub cebuli, raz nawet ktoś zamówił cheeseburgera bez sera. Wszelkie zmiany musiałam wprowadzać bardzo szybko, bo kasa połączona była z monitorem umieszczonym w kuchni, na którym wyświetlały się zamówienia. Kanapki robione były tak szybko, że nie zdążyłam wydać reszty, a już były gotowe. Pamiętam jak kiedyś ktoś zamówił sto cheeseburgerów. Nabiłam zamówienie na kasie, i od razu z kuchni przybiegła Fei Fei, Koreanka, spytała, czy się nie pomyliłam.

Ludzie pracujący na tak zwanym grillu byli bardzo sympatyczni, i po kilku dniach wiedzieli już, że jak ktoś zamawia cheeseburgera bez mięsa, to jest to mój lunch. O szesnastej szłam do domu, kładłam się spać na godzinę, potem brałam prysznic i szłam do 'Deli' po kawę i kanapkę.

Uwielbiałam te delikatesy – stały tam dzbanki z różnymi rodzajami kawy, można było sobie samemu nalać do kubeczka. Były też różne rodzaje mleka, śmietanki i cukru.

Potem zamawiało się długą kanapkę z warzywami opiekanymi na grillu. Kanapki zawijane były w ogromną płachtę papieru. Za to wszystko płaciłam w kasie, kupowałam jeszcze papierosy marki Eagle, mentolowe, setki. Dziwne, że pamiętam jeszcze takie rzeczy. W domu odwijałam kanapkę i, popijając kawą, oglądałam TV albo rozmawiałam ze współlokatorami. Około dziewiętnastej szłam do pracy do Gateway. Tam prawie nie mogłam wysiedzieć do północy. Błagałam Ivo, żeby puścił mnie już do domu, co było dziwne, gdyż zazwyczaj dziewczyny prosiły o nadgodziny, żeby więcej zarobić. Biegłam do domu, gdzie wiedziałam, że Maura, Elaine i Julie już na mnie czekają. Brałam szybki prysznic, ubierałam się, robiłam makijaż i szłyśmy razem do Poplar na piwo, wracałyśmy po trzeciej. I tak niemal codziennie. Naprawdę nie wiem, jak ja dawałam radę żyć w takim tempie.

Pracowałam w kasynie również czwartego lipca, i dlatego nie widziałam fajerwerków, jedynie po odgłosach mogłam się domyślić ich spektakularności. Te na zakończenie sezonu były jednak okazalsze, jak opowiadano mi na pocieszenie. W Wildwood wszystko kręciło się wokół słów takich jak: sezon, wakacje, turyści, praca.

W tygodniu miałam zawsze jeden lub dwa dni wolnego. Wtedy najchętniej jeździłam sama lub ze współlokatorkami do Rio Grande lub Court House, gdzie były centra handlowe, na zakupy, i wydawałam mnóstwo pieniędzy. Potem szłyśmy z dziewczynami do restauracji na kolację, czasem miałyśmy dzień sprzątanania i prania. Czas płynął szybko i przyjemnie. Było nas stać na przyjemności, na jakie w Polsce nigdy nie mogłabym sobie pozwolić. Kupowałam głównie prezenty dla mamy, brata, i przyjaciół w Polsce. Kupowałam też mnóstwo ciuchów, których już teraz nie mam. Wracając do Polski miałam dwa razy więcej bagażu, niż kiedy leciałam do USA. A i tak prawie wszystkie rzeczy zabrane z Polski zostawiłam tam.

Sierpień 2002

W końcu jednak zmęczył mnie ten tryb życia i zrezygnowałam z Gateway 26. Mój były chłopak pewnie nawet tego nie zauważył, nie spotykaliśmy się przecież w pracy. Mógł jedynie zaobserwować, jak moje imię, moje amerykańskie imię Kate, pojawiało się coraz rzadziej, aż w końcu zupełnie zniknęło z grafika.

Miałam wolne weekendy, więc chciałam znaleźć jakąś dorywczą pracę. Przyjęto mnie do sprzątanania pokoi hotelowych – płacili tam marnie i w dodatku menadżerki zabierały wszystkie napiwki, ale tylko tam udało mi się zdobyć pracę w wymiarze dwu dni w tygodniu. Jeremy miał mnie nauczyć, jak się ścieli łóżka, gdyż nie jest to taka prosta sprawa. Kiedy już mnie wszystkiego nauczył, zaczęliśmy rozmawiać na bardziej osobiste tematy. Zapytał mnie skąd jestem. *Poland* – powiedziałam, na co on po polsku krzyknął:

no co ty?! Okazało się, że na imię ma Jarek. Kilka dni pracowaliśmy razem, odkurzając, robiąc łóżka, i sprzątając cały ten niewiarygodny bałagan, jaki potrafią zrobić turyści w pokoju przez jeden dzień. Czasem bałagan był taki, że nawet obrazy na ścianach wisiały krzywo. Czasem chciało mi się płakać, odpadały mi ręce. Szybko zrezygnowałam z tej pracy i poświęciłam się zupełnie McDonaldowi.

Nie na długo, jak się okazało.

Któregoś dnia, wczesnym rankiem, kiedy na deptaku przed McDonaldem nie było jeszcze żywej duszy, nalewałam kawę dla siebie, ledwo żywa po imprezie. Nagle usłyszałam huk, przestraszyłam się i rozlałam tą kawę. A może nie rozlałam, sama nie pamiętam. Odwróciłam się od ekspresu, i okazało się, że to chłopak, który pracuje w kinie 'Strand', przylegającym do naszej restauracji. Po prostu podszedł do lady i rzucił na nią jakąś paczkę. Zrobiło mu się głupio, że mnie tak przestraszył (chyba rzeczywiście rozlałam tą kawę), i zaczęliśmy rozmawiać. Miał na imię Ronnie.

Przychodził teraz co rano, na kawę. Moi koledzy zza lady opowiedzieli mi o nim parę rzeczy. Że jest synem właściciela całego budynku, w którym oprócz kina i 'maca' mieści się mnóstwo innych sklepów. Że jest menadżerem kina i czasem wpuszcza obsługę McDonalda na filmy bez biletu. Przy następnej okazji zapytałam go, czy gdybym chciała wpaść zobaczyć jakiś film, dostałabym zniżkę na bilet. Powiedział, że wpuści mnie za darmo. Następnego dnia miałam wolne, więc się okropnie wystroiłam i poszłam do kina. Ronniego niestety nie było. Spytałam o niego innego pracownika – Mauricio z Brazylii, który powiedział, że Ronnie ma wolne, i czy coś przekazać. Powiedziałam, że pracuję w McDonalddie i Ronnie obiecał wpuścić mnie na film. Mauricio dopiero teraz poznał, że ja to ja. W 'macu' pracowaliśmy ubrani w okropne czerwone daszki, czarne spodnie i koszulki. Do tego zazwyczaj nie prezentowałam sobą pięknego widoku (imprezy) byłam bez makijażu i z podkrążonymi oczami. Mauricio wpuścił mnie na film, a następnego dnia z samego rana do 'maca' wpadł jak burza Ronnie, przeproszać mnie za to, że go nie było dzień wcześniej. Powiedział, że jak chcę, to możemy dzisiaj po zamknięciu kina zrobić sobie prywatną projekcję.

A więc o 23 przyszłam pod kino. Poczekaliśmy z Ronniem aż wyjdą ostatni goście. Zamknęliśmy drzwi do budynku i obładowani popcornem, cukierkami i piwem poszliśmy do sali. Najpierw Ronnie musiał uruchomić film. W sali projekcyjnej pokazał mi jak się skleja taśmę filmową, która przychodzi od dystrybutora w kawałkach, jak się montuje ją w projektorze, a był tam naprawdę stary sprzęt, nie żadne kino cyfrowe. Ronnie pozwolił mi wcisnąć guzik i film się zaczął. Jako wielka miłośniczka kina, byłam wniebowzięta.

Cudownie było siedzieć tylko we dwójkę w sali kinowej, pijąc piwo, paląc papierosy i podjadając popcorn. Po filmie jeszcze długo rozmawialiśmy. I tak się zaczęło. Staliśmy się z Ronniem nierozłączni. Chociaż dużo pracowaliśmy, spędzaliśmy razem wolne dni, przerwy w pracy, wieczory. Jeździliśmy razem po całej wyspie, do pobliskich

miast. Raz kazał mi wsiąść do samochodu i nie powiedział gdzie jedziemy. Okazało się, że spędzimy weekend w Atlantic City, a ja nie zabrałam ze sobą nawet szczoteczki do zębów. Odkąd poznałam Ronniego nie imprezowałam już tyle, co pozytywnie odbiło się na moim samopoczuciu i pracy, a co za tym idzie, finansach. Z Irlandczykami szłam raz w tygodniu na piwo lub zabierałam ich do kina – dzięki Ronniemu nie musieliśmy płacić za bilety.

Innym razem popłynęliśmy promem do Delaware, który jako pierwszy stan, jest zwolniony z płacenia podatków, i można kupować tam po niższych cenach. Bo oczywiście, wybraliśmy się tam, by w tradycyjnie amerykański sposób spędzać czas – zakupy i kolacja w restauracji.

Ostatniego tygodnia sierpnia z niemiłym zaskoczeniem zauważyłam zmiany w grafiku w McDonalddie. Miałam teraz pracować tylko co drugi dzień. Wraz z coraz mniejszą liczbą turystów zredukowano etaty, zresztą nie tylko w 'macu'. Z pomocą przyszedł mi Ronnie, zatrudniając mnie w kinie. Mimo, że miałam wrażenie, że zupełnie nie jestem tam potrzebna, najmilej wspominam pracę właśnie tam. Sprzedawałam popcorn albo siedziałam sobie w budce z biletami i patrzyłam w ocean. No i mogłam więcej widzieć się z Ronniem. Naprawdę nie wiem, jak Ronnie przekonał ojca, żeby mnie zatrudnić. David nie lubił mnie chyba za bardzo. Kiedy zjawiał się w kinie, zawsze rozmawiał z Ronniem i jego starszym bratem Benjaminem po hebrajsku, żeby nie mogła nic zrozumieć. Na domiar złego, pierwszego dnia pracy w kinie nacisnęłam przez przypadek alarm, i przyjechała policja, sądząc, że na nas napadnięto.

Mimo wszystko lubiałam tą pracę, zapach popcornu i towarzystwo Mauricio, który wciąż opowiadał z rozmarzeniem o swojej żonie, która czeka z córeczką w Brazylii. Jak wszyscy pracownicy - imigranci, tęsknił za domem, ale odkładał powrót do kolejnej wypłaty, w nieskończoność.

Pamiętam jedno zabawne zdarzenie, stałam za kasą kina, przyszły dwie dziewczyny pytając czy jest jakiś dobry film. Z akcentu poznałam, że to Polki. Wymieniłam im, może trochę za szybko, jakie są filmy i co warto obejrzeć. Kiedy skończyłam, spojrzały się na siebie, i jedna po polsku powiedziała: *Ty zrozumiałaś coś, co ona mówi?* Z trudem powstrzymałam się od śmiechu. Kupiły bilety i kiedy już szły do sali, krzyknęłam za nimi, po polsku oczywiście: *miłego seansu!* Momentalnie zrobiły się czerwone i szybko uciekły.

Polaków do kina i do 'maca' przychodziło dużo. Raz jeden taki łamaną angielszczyzną zamówił hamburgera. Miał koszulkę pracownika parku rozrywki i tabliczkę z imieniem – Lukasz. Powiedziałam: *jeden dolar, Lukasz.* I uśmiechnęłam się. A on wycedził, niemal przez zęby, wskazując na moją koszulkę: *a ty co, Kejt?* Czasem najgorsze, co mogło spotkać cię za granicą, to był drugi Polak.

Wrzesień 2002

Sezon się kończył i było to czuć wszędzie. Ronnie opowiadał mi, że zimą Wildwood zamienia się w miasto duchów. I rzeczywiście tak zaczynało wyglądać. Nie było już takich tłumów. Ludzie zaczynali wracać do swoich krajów. Mój były chłopak wrócił do Polski jeszcze na początku września, i nie spotykałam go już nawet przypadkiem na Poplar Avenue, kiedy to udawał, że mnie nie widzi. Moi współlokatorzy też wyjechali, więc zamieszkałam z Ronniem – nie mogłam sama wynajmować mieszkania. Powoli zaczęliśmy zdawać sobie sprawę, że wakacje się kończą i ja też będę musiała wracać do Polski. Zastanawiałam się, czy nie zostać. Wiedziałam jednak, że to poważna decyzja a nielegalne przedłużenie wizy kosztowałoby mnie zakaz wjazdu do USA w przyszłości.

No i trzeba było wykorzystać ten darmowy bilet, który jeszcze miałam. Zarezerwowałam lot do Orlando na Florydzie. Ronnie kupił sobie bilety w tańszych liniach. Lecieliśmy więc osobno i mieliśmy spotkać się na lotnisku, i tak sobie teraz myślę, że to był cud, że się spotkaliśmy. Nie miałam komórki ani nawet numeru do niego. A jednak się udało.

Mieszkaliśmy w Hotelu West Gate Resort i całymi dniami, jak porządni turyści włączyliśmy się po parkach tematycznych – Uniwersal Studios, Water World i zaliczaliśmy 'atrakcje'. To były bardzo krótkie wakacje, a to, co najlepiej pamiętam, to palmy zamiast drzew wokół budynków, i różowe ptaki na długich, cienkich nóżkach zamiast gołębi. Bardzo dobrze się bawiliśmy. Miałam już nie wracać do Wildwood. Prosto z Florydy lecieliśmy do Nowego Jorku, a po 4 dniach miałam lot do Polski.

W Orlando po raz kolejny wpasowałam się w narzuconą przez sytuację rolę – byłam wzorową turystką z zagranicy. Czułam się jakbym grała w filmie. Zresztą nie pierwszy raz miałam takie uczucie. Wcześniej bez mrugnięcia okiem grałam rolę pracującej kobiety z Europy wschodniej, a po pracy przemieniałam się w amerykańską dziewczynę na zakupach.

Chciałam zamówić sobie wegetariańskie danie w samolocie, więc zadzwoniłam do linii lotniczych, ale okazało się że nie ma na moje nazwisko rezerwacji! A Ronnie miał mnie tylko zostawić na lotnisku i jechać z powrotem do Wildwood. Gdyby tak się stało, musiałabym przez tydzień znaleźć sobie zajęcie na lotnisku. Na szczęście udało się zarezerwować bilet na 30 września – dzień przed upływem terminu mojej wizy. Nie potrafiłam się jednak cieszyć.

Znów więc niespodziewanie wracałam do Wildwood i mogłam jeszcze raz spojrzeć na to miejsce, zapamiętać je i przypomnieć sobie dobre i złe chwile. Poszłam na Poplar Avenue, która świeciła pustkami. W pralni, gdzie w nocy po imprezach graliśmy z Ryanem i Johnnym w gry na automatach. Poplar Cafe było zamknięte. Nawet Ocean

zdawał się wyglądać tak, jakby go ktoś przełączył na tryb oszczędny, i mew było też mniej.

30.09.2002

Płakałam na lotnisku. Może nawet bardziej, niż trzy i pół miesiąca wcześniej na lotnisku w Rębiechowie. Wtedy wiedziałam, że wrócę, że zobaczę mamę, przyjaciółki. Teraz nie miałam takiej pewności. Czułam, że związek z Ronniem na odległość nie ma szans. I tak zbyt wiele nas różniło. Jego rodzina była nam nieprzychylna z powodów religijnych. Zwłaszcza ojciec, który nawet ufundował dom modlitw dla nielicznej żydowskiej społeczności w Wildwood. Powiedział, że jak Ronnie zechce się ze mną ożenić, to go wydziedziczy. To i jeszcze parę innych rzeczy złożyło się na to, że kilka miesięcy później, za pomocą e-maila, rozstaliśmy się, i już nie utrzymujemy ze sobą kontaktu, niestety.

Ciągle jednak pamiętam Amerykę, chciałabym tam kiedyś jeszcze wrócić. A najbardziej chciałabym cofnąć się w czasie, i przeżyć ten czas jeszcze raz. Wiem, że zapomniałam o wielu momentach, osobach. Przywracam to we wspomnieniach, chociaż wspomnienia to nie to samo. To zupełnie coś innego. We wspomnieniach wszystko jest zniekształcone, lepsze albo gorsze. A życie, czas, po prostu upływa swoim stałym tempem, na które nie mamy żadnego wpływu.

Dlaczego tam pojechałam? Odpowiedź jest prosta. Dlaczego pojechałabym jeszcze raz? Bo mogłabym, bo byłoby mnie na to stać. Nie w sensie finansowym, lecz duchowym. Mogłabym znowu podjąć to ryzyko. Przez kilka chwil żyć zupełnie innym życiem a potem wrócić, jak gdyby nigdy nic, do poprzedniego stanu rzeczy. Mieć marzenie i zrezygnować z niego, by móc dalej być sobą, w Polsce.

Gaja